



BRIGID KEMMERER

Kontynuacja losów Tessy i Corricka  
bohaterów powieści *Na przekór nocy*.

W

OBRONIE  
ŚWITU

Na przekór nocy #2



Tytuł oryginału

*Defend the Dawn*

Copyright © 2022 by Brigid Kemmerer

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo Nowe Strony

Oświęcim 2023

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Agata Bogusławska

Edyta Giersz

Katarzyna Olchowy

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-591-5

**BRIGID KEMMERER**

# **W OBRONIE ŚWITU**

**NA PRZEKÓR NOCY #2**

**TŁUMACZENIE  
SYLWIA GOŁOFIT-LEND**

**OŚWIĘCIM 2023**

*Dla Jonathana i Kary*

| Liderzy polityczni Kandali   |                                             |                       |
|------------------------------|---------------------------------------------|-----------------------|
| Godność                      | Rola                                        | Sektor                |
| Harristan                    | Król                                        | Królewski             |
| Corrick                      | Księżę,<br>Najwyższy<br>Sędzia<br>Królewski | Królewski             |
| Barnard Montague<br>(zmarły) | Konsul                                      | Nabrzeże Kupców*      |
| Allisander Sallister         | Konsul                                      | Księżycowe<br>Równiny |
| Leander Craft<br>(zmarły)    | Konsul                                      | Stalowe Miasto        |
| Jonas Beeching               | Konsul                                      | Artis                 |
| Lissa Marpetta               | Konsul                                      | Emberridge            |
| Roydan Pelham                | Konsul                                      | Kraina Smutku         |
| Arella Cherry                | Konsul                                      | Sunkeep               |
| Jasper Gold                  | Konsul                                      | Mosswell              |

\*Zwane także Nabrzeżem Zdrajców po tym, jak poprzedni król i królowa zostali zamordowani przez Konsula Montague, pozostawiając władzę w ręku Harristana i jego młodszego brata Corricka.

| Buntownicy |                 |
|------------|-----------------|
| Godność    | Rola            |
| Tessa      | zielarka*       |
| Karri      | zielarka        |
| Lochlan    | pracownik kuźni |

\* Obecnie pracująca dla króla

| Najważniejsi członkowie załogi Ścigacza Świtu |                          |
|-----------------------------------------------|--------------------------|
| Godność                                       | Rola                     |
| Rian Blakemore                                | Kapitan                  |
| Gwyn Tagas                                    | Porucznik                |
| Sablo                                         | Podporucznik             |
| Marchon                                       | nawigator i kwatermistrz |
| Dabriel                                       | kucharka                 |

## Lek

Jedyny znany lek na chorobę nazywaną „gorączką” to eliksir sporządzany z suszonych płatków Księżycowego Kwiatu rosnącego tylko w dwóch sektorach – na Księżycowych Równinach i w Emberridge. Każdy sektor dostaje ograniczony przydział płatków Księżycowego Kwiatu.

Ci, których na to stać, mogą je kupić.

Ci, których nie stać – pozostają z niczym.

# ROZDZIAŁ 1

## Wyjęty spod prawa

Kiedy byłem jeszcze chłopcem, letnie noce w głuszy pachniały przygodą. Młodymi sosnami. Mdłą słodyczą wiciokrzewu. Zawsze gdzieś paliło się jakieś ognisko, a przy nim nie brakowało kwaśnego piwa. Powietrze przepełniały ożywione rozmowy albo sprośne pijackie piosenki, albo przekleństwa mężczyzn, którzy właśnie przegrali ostatnie pieniądze.

Dziś letnie noce niosą woń gnijących zwłok. Większość płonących ognisk to stosy pogrzebowe. Rzadko gdziekolwiek słysząc śpiew. Piwo nadal jest dość powszechne, może teraz nawet bardziej niż kiedyś.

Obiecano dodatkowe dostawy płatków Księżycowego Kwiatu, ale nadchodzą one wolno. Tutaj nikt już nie ufa nikomu w pałacu. Niewielu ufa konsulom. Nawet buntownicy, rzekomo negocjujący lepszą dostępność leku, stają się obiektem podejrzeń.

Krążące plotki – a krąży ich wiele – są oburzające.

Gdy jestem tu, w Dzicy, staram się nie rzucać w oczy i robię, co mogę.

O tej porze kręte leśne ścieżki są opustoszałe, mimo to staram się trzymać w cieniu, niczym duch. Nie chcę się natknąć na nocny patrol. Przy pasku mam sakiewkę ciężką od miedziaków, na oczach czerwoną maskę, a na głowie kapelusz, nisko opuszczony na czoło. W takim stroju, o takiej porze na pewno by mnie aresztowali. Do tego trafiłbym do Twierdzy i czekał na przesłuchanie, a to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje.

Schodzę ze ścieżki i wyjmuję kilka monet. Pierwszy dom jest mniejszy niż pozostałe. Wygląda, jakby wewnątrz znajdowała się tylko jedna izba, ale z tyłu jest kurnik i klatka dla królików. Nigdy nie spotkałem mieszkańca tego domostwa, jednak zwierzęta wyglądają na zadbane. Właśnie mam położyć kilka miedziaków na beczce ze zbożem, kiedy dostrzegam małe zawiniątko, a obok wiadomość, błędnie napisaną palcem na zakurzonego wieku.

### *DZIENKUJE*

Odwijam muślin, a w nim znajduję dwa nieduże herbatniki pachnące serem i czosnkiem.

To nie pierwszy prezent, jaki dostaję, ale za każdym razem czuję dziwny skurcz w żołądku. Mam ochotę nie przyjąć podarunku, bo nie potrzebuję niczego od tych ludzi. Nie robię tego dla zapłaty. Ale ten prezent znaczył wiele dla osoby, która go zostawiła, a ja nie chcę być niegrzeczny, więc zawijam herbatniki z powrotem w muślin i chowam do kieszeni, po czym zostawiam kilka monet na beczce i idę dalej.

W drugim domu mieszka kilkoro dzieci, w tym noworodek. Czasem słyszę płacz w środku nocy, dlatego staram się poruszać jak najciszej, żeby nikt mnie nie zauważył. Wsuwam monety do kieszeni ubrań suszących się na sznurze.

W następnym domu zostawiam monety na progu.

W kolejnym na parapecie.

W piątym kładę je na pieńku, tuż obok białej w niego siekiery.

Nagle dostrzegam w mroku jakąś postać.

– Ha! – rozlega się szept. – Mam cię!

Jest tak zaskakujący, że upuszczam monety w trawę. Chwytam za trzonek siekiery i odwracam się szybko. Nie wiem, co zrobić, jeśli to nocny patrol. Siekiera na niewiele się zda przeciwko kuszy. Nie powinni strzelać bez ostrzeżenia, jednak od buntowników i wyjętych spod prawa nasłuchiwałem się dość opo-

wieści, by wiedzieć, że to, co powinni i co faktycznie robią, to często dwie różne sprawy.

Tak czy siak, stoję z siekierą w rękach, gotowy jej użyć.

Postać odskakuje i podnosi ręce.

– Jejku!

To jednak nie nocny patrol, tylko... dziewczyna. Jest wysoka, prawie mojego wzrostu, więc w pierwszej chwili myślę, że może być starsza ode mnie, ale rysy jej twarzy są jeszcze dziecięce, a ręce smukłe i wiotkie. Ma na sobie jasną nocną koszulę odsłaniającą ramiona, a brzeg materiału ciągnie się po trawie. Blond włosy zebrała w rozpadający się warkocz, sięgający poniżej talii.

– Nie chcę kłopotów – mówię.

– Masz siekierę – odpowiada szeptem, w którym jednak nie słysząc strachu. – Z mojej strony nic ci nie grozi.

Opuszczam siekierę ostrzem w dół.

– Więc wracaj tam, skąd przyszedłeś, i pozwól mi iść swoją drogą.

Teraz, gdy już nie mam „bronii”, dziewczyna opuszcza ręce, ale się nie odwraca. Mruży oczy i wpatruje się we mnie uważnie, a po chwili patrzy w ciemność za moimi plecami.

– Jesteś sam.

– Tak.

– Kiedy zaczęły pojawiać się monety, mój kuzyn myślał, że to Weston i Tessa wrócili. Ale ty nie jesteś Wes, prawda?

– Nie.

Wpatruję się w ciemność i zastanawiam, czy ktoś jeszcze skrywa się między drzewami. Moje serce wali jak szalone od chwili, gdy ta dziewczyna pojawiła się znikąd.

– Cóż... – mówi dalej ścisłym głosem – i tak ludzie gadają, że Weston Lark był tak naprawdę księciem Corrickiem, bratem króla.

– Też o tym słyszałem.

– Jeden z buntowników go złapał – ciągnie. – Chyba w Artis. Wes był przebrany za wyjątego spod prawa. Miał maskę i w ogóle. Uratowała go dopiero armia królewska.

Wszędzie słyhać te plotki.

Spoglądam na niebo – jeszcze nie jaśnieje, ale niedługo zacznie. Wkrótce nadejdzie świt, więc muszę wracać. Waham się, zastanawiam, wreszcie wbijam siekierę w pień. Dźwięk rozchodzi się echem po lesie, a ja się krzywię.

Oczy dziewczyny błyszczą jak płomień, gdy bierze gwałtowny wdech.

Zostawiam kilka monet na pieńku i odwracam się, żeby odejść. Ramiona mam spięte. Staram się zachować gotowość, na wypadek gdyby wszczęła alarm. Chyba zapominam, że ludzie w Dzicy troszczą się o siebie.

Dziewczyna podbiega i zaczyna iść obok mnie.

– Jeśli nie jesteś Westonem Larkiem, to kim jesteś? – dopytuje.

– To bez znaczenia.

– Masz czerwoną maskę – trajkocze dalej, nie zważając na nic.

Myślałem, że może mieć czternaście, może piętnaście lat, ale teraz wydaje mi się, że jest jeszcze młodsza.

– Wyglądasz w niej jak lis. Słyszałam, że Weston miał czarną.

– Idź do domu.

Nie słucha.

– Niektórzy myślą, że te twoje monety to podstęp – kontynuuje, dotrzymując mi kroku. – Mój wujek nazywa cię...

– Podstęp! – Odwracam się gwałtownie, żeby się jej przyjrzeć.

– Na czym niby miałyby polegać podstęp z zostawianiem monet w środku nocy?

– Gadają, że ksiązę Corrick udawał Westona Larka, żeby wyciągać z ludzi informacje o przemytnikach. – Jej szeroko otwarte oczy przepętnia szczerość. – Żeby mógł ich potem zabić.

Prycham tylko i idę dalej.

– Po co miałyby zadawać sobie tyle trudu, skoro i tak może skazać na śmierć każdego, kogo zechce?

– Więc myślisz, że to nieprawda?

– Trudno mi sobie wyobrazić, że brat króla potajemnie przebiera się za wyjątego spod prawa, żeby łapać przemytników.

– Cóż, nie bez powodu nazywają go Krwawym Corrickiem. A może myślisz, że to król jest okrutnym... Auć!

Potyka się i chwyta moje ramię, żeby utrzymać równowagę, podskakując na jednej nodze. Robi tyle hałasu, że mam ochotę wyrwać się jej i uciec, ale nie jestem bez serca.

Wzdycham bezgłośnie i spoglądam w dół – jest bosa. Jedną stopę trzyma w górze, a z jej pięty spływa cieniutka strużka krwi.

– Bardzo źle to wygląda? – pyta, a w jej głosie pobrzmiewa delikatna nuta strachu.

– Nie wiem, usiądź.

Siada, wsuwając drugą nogę pod kolano tej skaleczonej. Krople krwi kapią na trawę, a ja zauważam, że w ranie coś się błyszczy – ostry kawałek skały albo metalu.

Dziewczyna się krzywi.

– Mama mnie zabije.

– Narobiłaś takiego rabanu, że nocny patrol może ją wyręczyć. – Kładę swoją torbę na trawie i przykucam przy nieznajomej, żeby obejrzeć ranę. – Mówiłem, żebyś wracała do domu.

– Chciałam wiedzieć, kim jesteś. Mój kuzyn nie uwierzy, że cię przyłapałam.

– Nie „przyłapałaś” mnie. Nie wierć się. – Wyjmuję z kieszeni zapakowane w muslin herbatniki, odwijam i podaję jej. – Trzymaj.

Marszczy czoło, ale bierze ode mnie poczęstunek.

Już mam wyciągnąć przedmiot wbity w ranę, ale się waham.

Patrzę na nią poważnie.

– Może zabołec. Musisz być cicho.

Zaciska zęby i gwałtownie potakuje głową.

Ujmuję w palce wystający kawałek i pociągam. Rozlega się pisk, a dziewczyna niemal wrywa stopę z mojej ręki, ale udaje mi się ją utrzymać. Posyłam jej gniewne ostrzegawcze spojrzenie, na co bierze głośny wdech i zastyga w bezruchu.

Krwawiącą ranę owijam kawałkiem muslinu. Koniec rozdzielam na dwie części i zawiązuję na supełek.

Mrużę, żeby przegonić z oczu łzy. Żadna nie spływa.

– Co to było? Kawałek skały?

Kręcę głową i odpowiadam:

– Grot strzały.

– Nocnego patrolu? – docieka.

– Na pewno kogoś, kto chodzi w butach. – Wzruszam ramionami.

– To ma być żart?

– Musisz obmyć ranę, gdy wrócisz do domu – mówię, po czym prostuję się i przewieszam torbę przez ramię. Po tym wszystkim będę musiał zmienić trasę. Nie mam ochoty spotykać ludzi czających się na mnie w ciemnościach, nawet jeśli to dziewczyna, która ledwo przestała być dzieckiem. – Uważaj na siebie – rzucam. – Na mnie już pora.

Nieznajoma z trudem wstaje, utykając na zranioną nogę.

– Nadal nie wiem, jak się nazywasz!

– Możesz mnie nazwać, jak chcesz – odpowiadam. – Już tu nie wrócę.

– Nie! – woła za mną. – Zaczekaj. Proszę. To moja wina... Nie wiesz... – Głos zaczyna jej się łamać, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. – Nie wiesz, jak bardzo wszyscy potrzebujemy...

Odwracam się i zakrywam jej usta.

– Naprawdę chcesz ściągnąć na nas nocny patrol?

Szybko kręci głową, jest już nieco spokojniejsza.

– Jedzenie – mamrocze mimo mojej dłoni wciąż spoczywającej na jej ustach i wyciąga przed siebie herbatniki, które jej dałem.

*Nie wiesz, jak bardzo wszyscy potrzebujemy...*

Doskonale wiem, jak bardzo potrzebują. Wyjęci spod prawa Wes i Tessa kiedyś pomagali tym ludziom. Słyszałem tak wiele historii, że aż kręci mi się od nich w głowie. Nie zdołam wypeł-

nić pozostałej po nich wyrwy kilkoma monetami podrzuconymi tu czy tam. Nie jestem nawet pewien, dlaczego próbuję.

– Zatrzymaj je. – Opuszczam rękę i szukam w kieszeni jeszcze kilku monet. – I nikomu nic nie mów. – Podaję jej monety.

Patrzy na nie, potem szybko potakuje głową i chowa pieniądze.

W Sektorze Królewskim rozlega się dźwięk alarmu, na co dziewczyna podskakuje, a ja wzdycham.

– Idź już do domu.

– Wrócisz jeszcze? – pyta.

Posyłam jej surowe spojrzenie.

– Tylko jeśli następnym razem nikt nie będzie na mnie czekał w ciemności.

Jej twarz rozpromienia uśmiech.

– Obiecuję.

– A jak ty się nazywasz?

– Violet.

– Uważaj na tę stopę, Violet.

Kiwa głową w odpowiedzi i szepcze:

– Dziękuję, Lisie.

Uśmiecham się na te słowa. Lekko dotykam runda kapelusza na pożegnanie i znikam w ciemności.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Tessa*

Przy stole siedzi pięciu mężczyzn, a większość z nich ma ochotę się wzajemnie pozabijać. To zdecydowanie utrudnia negocjacje.

Oprócz mnie przebywa tu jeszcze jedna młoda kobieta i żadna z nas raczej nie ma morderczych myśli. Karri wydaje się przytłoczona faktem, że znajduje się w pałacu. Brązowe oczy ma szeroko otwarte, a smukłymi palcami cały czas dłubie przy szwie sukni. Jeszcze miesiąc temu szeptałybyśmy między sobą o całej tej sytuacji, dzieliły się obawami i próbowały pomóc sobie nawzajem przejść przez to spotkanie, ale teraz Karri jest zakochana w jednym z przywódców buntowników, a ja w bracie króla. To wzniosło między nami mur i choć z tego powodu pęka mi serce, nie potrafię zburzyć bariery. Tu i teraz ta ściana wydaje się potężniejsza niż granica otaczająca Sektor Królewski.

Quint też raczej nie chce nikogo zabić. Marszałek Dworu siedzi po przeciwnej stronie stołu – ponoć po to, by protokołować wszystko, co zostanie tu powiedziane. Połowa guzików jego kaftana jest rozpięta, a nad czołem zwisa mu luźny kosmyk rudych włosów. Cały czas notuje coś wiecznym piórem w oprawionym w skórę notatniku.

Lochlan, przywódca buntowników, siedzi po mojej lewej. Co kilka chwil rzuca gniewne spojrzenie w stronę Quinta. Najchętniej pozabijałby wszystkich wokół. Raz już próbował.

– Co on zapisuje? – pyta Lochlan. – Co robisz?

Quint przerywa sporządzanie notatek i podnosi wzrok.

– Jestem tutaj, żeby spisać wasze żądania i odpowiedzi na nie – oznajmia spokojnie.

– Jeszcze nie przedstawiłem żadnych żądań – oświadcza gardłowym głosem Lochlan.

Quinta niełatwo zastraszyć. Widziałam, że potrafił zachować zimną krew, kiedy Sektor Królewski dosłownie palił się do gołej ziemi. Ledwo zauważa taką delikatną agresję słowną. Jest też jednym z najbardziej taktownych ludzi, jakich znam, i ma niezwykły talent do sprawiania, że inni czują się przy nim swobodnie. Nawet w najbardziej drażliwych momentach.

Odkłada pióro i odwraca kartkę, żeby była lepiej widoczna.

– Właśnie notowałem nazwiska obecnych – odpowiada bez cienia protekcyjności – oraz datę i miejsce naszego spotkania. Mogę kazać przygotować kopię protokołu, jeśli sobie życzysz.

Lochlan rzuca okiem na kartkę, później z powrotem kieruje wzrok na Quintę. Na jego twarzy widoczne jest napięcie.

– On tylko robi notatki – mówi delikatnym głosem Karri i zerką na mnie przepraszająco. Kładzie rękę na ramieniu Lochlana, ale mężczyzna nie sprawia wrażenia, jakby go to rozluźniło.

Naprzeciw Karri siedzi Allisander Sallister, konsul Księżyco-wych Równin. Powinien być teraz w więzieniu, albo raczej wisieć na szubienicy. Uniknął jednak stryczka, bo zdołał przekonać króla, że tylko on może zebrać i dostarczyć płatki Księżykowego Kwiatu w takiej ilości i takim czasie, jakich wymagają warunki zawieszenia broni wynegocjowane z buntownikami. Osiem tygodni to niewiele na rozprowadzenie leku. Już samo zebranie wszystkich w jednym pokoju zajęło dwa tygodnie.

Na twarzy Alissandra maluje się mieszanka znudzenia i arogancji. Z westchnieniem wyjmuje spod stołu zegarek kieszonkowy w złotej kopercie, żeby sprawdzić godzinę.

– Spieszysz się dokądś, konsulu? – pyta siedzący po mojej prawej stronie Corrick.

Jego głos jest zimny, a niebieskie oczy przywodzą na myśl bryły lodu. To Księżę Corrick, który kiedyś wzbudzał moje przeżenie. Ten sam, który nadal wzbudza przeżenie wielu mieszkańców Kandali.

Gdyby mógł, podпалиłby konsula Sallistera tu i teraz.

Mężczyzna podnosi na niego wzrok.

– Jest wiele miejsc, gdzie wolałbym teraz być. Mogłeś poczekać z wezwaniem mnie, aż ci ignoranci zostaną pouczeni, jak odbywa się takie spotkania.

Rozlega się skrzypnięcie krzesła, kiedy Lochlan zrywa się z miejsca.

– Próbujesz mnie obrazić, ty zepsuty...

– Jeszcze pytasz? – Konsul Sallister gładzi bezczelnie swoją kosią brodkę. – W sumie chyba nie powinienem być zdziwiony.

– Dość – wtrąca się król Harristan.

Nie jestem pewna, czy kieruje te słowa do konsula Sallistera, Lochlana czy strażników, którzy podeszli bliżej, by zapobiec ewentualnym kłopotom. Głos króla jest niski, chłodny, ale spokojny. To polecenie wydane przez człowieka przywykłego do zyskiwania posłuchu. Kieruje na mnie spojrzenie błękitnych oczu, ciemniejszych niż oczy brata.

– Myślę, Tesso, że to ty powinnaś rozpocząć.

– Tak – zaczynam. – Oczywiście.

Przeciągam dłońmi wzdłuż sukni, po spódnicy, żeby uspokoić nerwy, jednak dotyk gładkiego jedwabiu nie studzi emocji. Pewnie spocone z nerwów dłonie zostawiają ślady na materiale.

Wolałabym być teraz w infirmerii, odmierzać dawki leku z pałacowymi medykami. Wagi, miarki i fiolki nie przejmują się dyplomacją. Gdybym naprawdę mogła wybierać, najbardziej chciałabym jednak wrócić do Dzikich, przemykać w ciemności z Wesem. Wyłamywanie zamków i kradzież leku były może niebezpieczne i niezgodne z prawem, ale przynajmniej miałam wtedy poczucie, że robię coś dobrego. Będąc w pałacu i starając

się przekonać wszystkich, do współpracy, mam wrażenie, że tylko pogarszam sprawę. Król Harristan i Księżę Corrick tak długo byli uważani za okrutnych i bezwzględnych, że trudno będzie dojść przy tym stole do porozumienia.

Allisander wzdycha i znów zerka na swój kieszonkowy zegarek. Harristan odchrząkuje.

Corrick nie patrzy na mnie, ale podnosi pióro i pisze kilka słów na okładce swojego notatnika, następnie je odkłada, a ten ruch zwraca moją uwagę.

Zerkam na słowa, które napisał:

*Nie trać ducha.*

Niemal oblewam się rumieńcem. Mówił tak do mnie, gdy byliśmy wyjętymi spod prawa, kiedy groziło nam niebezpieczeństwo albo kiedy czułam się przytłoczona. Zawsze mi to pomagało.

Nie inaczej jest teraz.

Odpowiadam mu delikatnym skinieniem głowy i przebiegam wzrokiem po twarzach zebranych przy stole.

– Konsul Sallister obiecał dostarczyć zapas leku na osiem tygodni, jednak po tym czasie...

– Powinno być być dwa – wtrąca konsul.

– Ale ustalono osiem – mówi Harristan.

– Powinno być być dwa. Mówiłem Corrickowi, kiedy składał tę idiotyczną obietnicę, że zapas na osiem tygodni jest niemożliwy. Jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło, mówiłem, że wiosenne deszcze wpłynęły na zbiory...

– Mówiłeś, że mogą wpłynąć – wchodzi mu w słowo Corrick.

– I wpłynęły – odpowiada Allisander. – Jeśli wy nie płaciecie za osiem tygodni dostaw leku, ja nie mam zagwarantowanych przychodów, żeby opłacić moich robotników. Trudno w takiej sytuacji mieć do nich pretensje, że porzucają pracę.

– To znaczy... że nie będzie zapasu leku na osiem tygodni?  
– pyta Karri.

– Będzie – odpowiada król tonem kończącym dyskusję.  
– Konsul Sallister złożył obietnicę przy świadkach i do protokołu. Jeśli przestałeś płacić swoim robotnikom, konsulu, możesz sam pracować w polu. Mów dalej, Tesso.

Biorę głęboki wdech.

– Podzieliłam się swoimi odkryciami z pałacowymi medykami i wydaje nam się, że połączenie księżycowego kwiatu z olejem z nasion róży pozwala stworzyć eliksir, który działa dłużej i skuteczniej przy zmniejszonej dawce.

– Albo który doprowadzi do śmierci jeszcze większej liczby ludzi – wtrąca się konsul Sallister obojętnym tonem.

– Może wolałbyś poczekać w Twierdzy? – rzuca lodowato Corrick. – Jestem pewien, że Quint chętnie dostarczy ci kopię protokołu z dzisiejszego posiedzenia.

– Tesso – rozlega się stanowczy głos Harristana, jakby żaden z mężczyzn się nie odzywał – mów dalej.

– Gdybyśmy zmodyfikowali dawkę, zapas leku na osiem tygodni mógłby nam wystarczyć na dwanaście.

– Czy on ma rację? – pyta Lochlan. – Czy może przez to umrzeć więcej ludzi?

– Nie sądzę – odpowiadam szczerze. – Lek, który dostarczałam ludziom w Dzikich, był w podobnej dawce i wszyscy widzieliśmy, że działał.

Mężczyzna wpatruje się we mnie intensywnie.

– Ty tak twierdzisz.

Nie wzdragam się od jego spojrzenia.

– Widziałeś to na własne oczy. Wiesz, że ludzie nam ufali.

– Ufali tobie. – Kieruje gniewne spojrzenie na Corricka. – Nikt nie ufa Najwyższemu Sędziemu Królewskiemu, kiedy nie nosi maski.

Spodziewam się, że Corrick mu odpyskuje, tak jak Allisandrovi, ale wytrzymuje spojrzenie Lochlana.

– Chcę to zmienić. – Przerywa. – Nie oczekuję od ciebie zaufania w tych kwestiach, nie jestem zielarzem. Ale Tessa ma rację, widziałem, że lekarstwo działało.

Lochlan zastyga w bezruchu. Widać, że nie ufa nikomu.

Quint cały czas notuje. W tej ciszy skrzywienie jego pióra wydaje się potwornie głośne. Zastanawiam się, czy zapisuje tylko to, co zostaje powiedziane, czy może coś więcej. Jest bardzo spostrzegawczy. Myślę, że protokołuje każde spojrzenie, każdą zmianę ułożenia ciała.

– Ja ufam Tessie – mówi cicho Karri.

Lochlan zerka na nią, a jego spojrzenie łagodnieje. Po tym, jak podburzył tłum, który omal nie zabił Corricka, i jak poprowadził żądnych krwi buntowników do Sektora Królewskiego, trudno mi znaleźć w nim cokolwiek, za co można by go lubić. Ale ilekroć patrzy na Karri w ten sposób, coś chwytą mnie za serce. Przypominam sobie, że kieruje nim troska. Nie tylko o nią. O wszystkich.

*Ale mną także.*

– Dobrze, w ten sposób zyskujemy trochę więcej czasu – zgadza się wreszcie Lochlan. – A co później? Co po tych dwunastu tygodniach?

– Jeśli zdołamy przekonać innych, że mniejsza dawka okazała się skuteczna w Dzikich, możemy przekonać więcej ludzi w sektorach do stosowania mniejszych dawek i dzięki temu leku wystarczy dla większej liczby ludzi – oświadczam.

– A więc testujesz swój lek na biedocie, by nabrać świadomości, jak wielkie jest ryzyko – podpuszcza mnie Lochlan.

– Nie! Nie określiłabym tego w ten sposób...

– Tak – wtrąca się Allisander.

– Na nim też go testujemy – mówi Corrick – tylko on jeszcze o tym nie wie.

Konsul bierze gwałtowny wdech, a jego oczy ciskają błyskawice.

– Co? – pyta Corrick. – Myślałeś, że nabieramy wszystkich dookoła, a sami przyjmujemy pełną dawkę?

– To absurd! – krzyczy konsul Sallister. – Kupujecie... Kupujecie przydziały pełnych dawek, a później...

– Sprawiamy, że wystarcza na dłużej – odpowiada król Harristan.

Karri się uśmiecha, po czym zerka na Lochlana.

– Widzisz?! – woła radośnie. – Ja ufam Tessie.

Uśmiecham się do niej z wdzięcznością, ale twarz Lochlana pozostaje jak wykuta z kamienia.

– Ja nie ufam żadnemu z nich. Nie mogę zanieść takiej odpowiedzi ludziom. Oni także temu nie ufają. Dajcie nam pełną dawkę, a testy przeprowadzajcie na sobie.

– Zaufanie musi działać w obie strony – mówi Harristan.

– Nadal nie odpowiedziałeś, co się stanie po tych dwunastu tygodniach – przypomina Lochlan.

– Mamy nadzieję, że ludzie przekonają się, że mniejsza dawka pozwoli nam zachować w zdrowiu większą liczbę ludzi, i zechcą...

Lochlan prychnął, patrzy na mnie gniewnie i podejmuje na nowo:

– Czy ty nic nie rozumiesz? Połowa ludzi w tym sektorze siedzi na zapasach płatków Księżycowego Kwiatu, które gromadzili od miesiący, a wy macie nadzieję, że w kilka tygodni przekonacie ich, by zmniejszyli dawki? Bo powiecie im, że w Dzikim mniejsze dawki były skuteczne? – Teraz spogląda gniewnie na Allisandra. – Po tobie nie widać, żebyś miał wielkie nadzieje.

– Nie obchodzi mnie, co się stanie z ludźmi w Dzikim – odpowiada. – Jeśli chcesz więcej leku niż to, co zostałem zobowiązany dostarczyć, to go kup. – Zerka na lewe ramię buntownika, nadal

spoczywające na temblaku i zabandażowane od dnia, kiedy Corrick złamał je w więzieniu. – A! Pewnie nie możesz teraz pracować w kuźni, co? Musisz żebrać, więc postanowiłeś udawać, że troszczysz się o innych...

Lochlan rzuca się w jego stronę przez stół... A raczej próbuje, bo dwóch strażników chwyta go, nim zdoła dopaść konsula. Przewraca dwie szklanki, z których woda rozlewa się na wypolerowany drewniany stół.

Allisander unosi gniewnie brew i odsuwa krzesło o kilka centymetrów, ale poza tym nie robi nic, by zatrzymać rozlaną wodę.

Spod ściany rusza służący ze ścierką.

Strażnicy szarpiają się z przeklinającym Lochlanem. Pewnie wykręcili mu złamaną rękę, bo nagle zamiast jego krzyków rozlega się gwałtowny wdech i mogę dostrzec, że na jego czoło wstępują kropelki potu.

– Zrób coś – szepczę do Corricka.

Spojrzenie jego niebieskich oczu napotyka moje.

– Mam ich obu powiesić?

– Corrick – szepczę. Nie jestem pewna, czy to był żart.

– Obaj są w błędzie – mówi stanowczym tonem, aby usłyszeli go wszyscy zebrani przy stole. – Nigdy do niczego nie dojdziemy, jeśli wy dwaj stale będziecie sobie skakać do gardeł.

– Dobra – cedzi przez zęby Lochlan. – Puśćcie mnie.

Karri wstaje ze swojego krzesła i zerka to na mnie, to na Lochlana.

Wzrok strażników jest wbity w króla.

– Puścić go – rozkazuje Harristan i spogląda na Allisandra.

– Ani słowa więcej, konsulu. Jeśli nie potrafisz mówić w dobrej wierze, nie będziesz mówił wcale.

– Ależ ja mówię w dobrej wierze, wasza królewska mość.

– W głosie mężczyzny słysząc pogardę. – Możesz mnie wykluczyć ze spotkania, zmniejszyć moją dawkę leku, zrobić wszystko,

co zechcesz, ale w tym jednym zgadzam się z tym prostakiem. Sektory nie przyjmą hipotezy weryfikowanej na tych, którzy nie mają nic do stracenia, którzy nie zawahają się skłamać, by tylko otrzymać kolejną dawkę. Potrzebujesz zaufania nie tylko buntowników.

Corrick i Harristan wymieniają spojrzenia, a Quint nie przestaje notować.

– Ludzie nie będą kłamać – wtrąca Karii rozgorączkowanym tonem.

Allisander patrzy na nią z pogardą.

– Dopiero co chcieliście spalić do gołej ziemi cały sektor. Wątpię, aby „kłamanie” wykraczało poza czyjekolwiek możliwości.

Choć szczerze nienawidzę konsula Sallistera, nie można mu tu odmówić racji. Nie chodzi tylko o to, by buntownicy zaufali Harristanowi i Corrickowi, no i... mnie. Muszą nam zaufać także wszyscy pozostali.

Lochlan nerwowo poprawia ubranie i siada z powrotem na krześle.

– Nikt nie będzie kłamał. My także przyszliśmy tutaj w dobrej wierze, pamiętasz?

– Bo ledwo wywinąłeś się od stryczka? – prycha Allisander.

– Tak jak ty – odcina mu się Lochlan.

– Dość – Głos Harristana przecina powietrze, wyraźnie słychać w nim gniew.

Bierze krótki wdech i odkrztusza. Dwukrotnie.

Widzę, że Corrick skupia całą uwagę na bracie. Król od miesięcy ukrywa kaszel. Na początku myślałam, że może ze względu na wrodzoną chorowitość, przejawianą już od czasów dzieciństwa, naprawdę potrzebuje więcej leku niż inni. Wprawdzie Allisander przyznał się do oszukiwania na dostawach i dostarczania do pałacu płatków Księżycowego Kwiatu wymieszanych z innymi, ale ten problem rozwiązano już kilka tygodni temu. Kaszel powinien był ustąpić.

A jednak nie ustąpił.

Pióro Quinta się zatrzymuje. Marszałek unosi wzrok, w mgnieniu oka ocenia sytuację i zwraca się do służby:

– Finn, myślę, że wszystkim nam przydałoby się coś do jedzenia i picia.

Służący rusza spod ściany, a kaszel króla zostaje zagłuszony nagłym szczękaniem porcelany i srebra.

Biorę pióro, wyciągam rękę i zakreślam słowa, które Corrick napisał wcześniej.

*Nie trać ducha.*

Zerka na mnie i lekko kiwa głową, ale z jego oczu nie znika obawa. Chciałabym móc położyć mu rękę na ramieniu albo wyszeptać do ucha jakieś podnoszące na duchu słowa, ale żadna z tych rzeczy nie byłaby dobrze widziana. Wszystko jest tak niepewne. Nie chcę dodatkowo osłabiać jego pozycji.

Finn stawia przed każdą z osób filiżankę herbaty i mały talerzyk z delikatnym ciastem polanym czekoladą, kawałkiem jabłka, obok którego stoi maleńka miseczka z miodem, i cienko pokrojonymi truskawkami oprószonymi cukrem pudrem.

Karri wpatruje się w talerz szeroko otwartymi oczami. Na początku robiłam to samo. Lochlan natomiast patrzy gniewnie na jedzenie.

Allisander wygląda na znudzonego.

Król sący łyk herbaty, co wydaje się na chwilę powstrzymać jego kaszel.

Wolałabym, żeby go nie ukrywał. Rozumiem, że nie chce okazywać słabości, ale wydaje mi się, że efekt byłby zupełnie przeciwny. To zbliżyłoby go do ludzi. Zobaczyliby, że wobec choroby jest równie bezbronny, jak oni. Jednak z drugiej strony rozumiem, dlaczego nie chce tego pokazać. Rodziców Harrista-

na i Corricka zamordowano na ich oczach, więc nie można się dziwić obawom braci.

Moich także zamordowano na moich oczach.

Karri wygląda, jakby bała się tknąć jedzenia, więc uśmiecham się do niej, biorę kawałek jabłka i zanurzam w miodzie.

– Jabłka są najlepsze – mówię do niej.

Odpowiada uśmiechem i także bierze ten owoc.

Lochlan się waha, jednak pokusa, jaką stanowi to wykwintne jedzenie, jest chyba zbyt silna, bo idzie w nasze ślady. To żadne ustępstwo z jego strony, ale takie sprawia wrażenie.

W korytarzu na zewnątrz rozlegają się głosy, jednak przez zamknięte drzwi nie sposób zrozumieć, o co chodzi. To dość nietypowe, by ktoś podnosił głos w pobliżu komnaty, w której przebywa król. Oprócz strażników w środku, co najmniej sześciu kolejnych stoi za drzwiami.

Harristan zerka na Corricka siedzącego po drugiej stronie stołu. Ten posyła spojrzenie strażnikom, a później Quintowi – odbywa się między nimi przedziwna niema komunikacja, która nagle wydaje się przeraźliwie głośna.

Quint odkłada pióro i wstaje od stołu.

– Proszę mi wybaczyć. Zaraz wracam.

Jeden ze strażników idzie z nim do drzwi, a Karri zerka na mnie.

– Co się dzieje? – pyta szeptem.

Chciałabym zachować spokój, ale moje serce zaczyna walić jak oszalałe. Byłam tu, kiedy buntownicy po raz pierwszy zaatakowali pałac.

– Ja... nie wiem...

Corrick kładzie rękę na mojej.

– Sprawy pałacowe – mówi spokojnie. – Nie masz się czym przejmować.

Mimo tych słów czuję napięcie w jego ciele.

Nikt nie je. Nawet konsul Allister wydaje się zaniepokojony.

Na szczęście Quint wraca po chwili i pochyła się, żeby powiedzieć coś do króla.

Harristan jest zbyt obyty z dworską polityką, żeby wyraz jego twarzy cokolwiek zdradził, ale jego oczy znów zwracają się w stronę Corricka.

– Zdaje się, że będziemy musieli przełożyć nasze spotkanie – oświadcza spokojnym głosem Quint. – Zaistniała okoliczność, która wymaga uwagi króla.

– Jaka okoliczność? – pyta Lochlan.

– Obawiam się, że nie mogę zdradzić.

– Zorganizowanie tego spotkania zajęło dwa tygodnie. Nie nabiorę się na żadne podstępny, żeby czekać dłużej – patrzy na przeciwną stronę stołu – zwłaszcza w sytuacji, kiedy jestem pewien, że wszyscy inni tu obecni dowiedzą się, o co chodzi.

Quint bierze gwałtowny wdech, ale Harristan unosi rękę.

– Masz rację. I to nie tylko tu obecni. Skoro statek zacumował kilka godzin temu, plotki na pewno już się rozeszły po Sektorze Królewskim.

– Statek? – pyta Corrick. – Jaki statek?

– Właśnie przybył emisariusz – odpowiada Harristan.  
– Z Ostriarii.

Gwałtownie odwracam głowę w stronę Corricka.

Ostriaria to zachodni sąsiad Kandali, leżący po drugiej stronie niebezpiecznej szerokiej rzeki. Ze względu na trudności w podróżowaniu oraz chorobę pomiędzy krajami nie istnieje żadna umowa handlowa.

Wiele tygodni temu pytałam Corricka, czy nie byłoby jakiegokolwiek możliwości sprowadzenia leku z Ostriarii. Odpowiedział, że dowiedzenie się tego jest w zasadzie niemożliwe. Już sama próba byłaby bardzo kosztowna.

Corrick zerka na mnie i widzę, że przypomina sobie naszą rozmowę.

- Ostriaria wysłała emisariusza?
- Niezupełnie – mówi Quint.
- Oni nie wysłali emisariusza. – Harristan przeciąga ręką po karku. To pierwsza oznaka napięcia, jaką okazuje. – Okazuje się, że my wysłaliśmy. Sześć lat temu...